# Piotr Zaremba: Od Mickiewicza do Fredry – kłopoty z ciągłością

Ujawniają się nowi kandydaci na antywieszczów, wierzący zapewne że podążają śladami Mrożka czy Gombrowicza. Po co jednak przy okazji „Dam i Huzarów”? Czy nie lepiej byłoby napisać własny dramat, choćby odwołujący się do pastiszu? Łatwiej wystawiać język za plecami zmumifikowanego Fredry – pisze Piotr Zaremba w kolejnej odsłonie cyklu „Teatr Według Zaremby”.

Sytuacja pierwsza: czytam krótką recenzję w „Newsweeku”. Michał Centkowski znęca się nad „Fantazją Polską”, spektaklem Teatru Ateneum o Ignacym Paderewskim. Z okazji Stulecia Niepodległości Andrzej Strzelecki wystawił złożoną z anegdot opowieść Macieja Wojtyszki, który mocował się wcześniej z tyloma już biografiami. Recenzent drwi: panie są w tym przedstawieniu naiwne, za to panowie prowadzą górne rozmowy o wielkiej polityce.

Nie chcę prowadzić debaty na temat tej sztuki i tej inscenizacji, krytykowanej przez wielu, także niektórych moich znajomych. Ja nie miałem poczucia, że oglądam arcydzieło, ale historyczny bibelocik, przyczynek, chwilami wszakże ciekawy i malowniczy. Niemniej czytając tę zdawkowo-wzgardliwą ocenę krytyka „Newsweeka” pojąłem w czym również rzecz. On oglądał coś, co jest dla niego de facto w obcym języku. Nie pojmuje, o czym to jest, nie jest w stanie smakować anegdot, bo oddziela go już nawet nie ode mnie, wstrętnego prawicowca, ale od filologicznego erudyty Wojtyszki, przepaść kulturowa, pewnie nie do zasypania.

**Opowieści o polskich wadach**

Sytuacja druga: przyjeżdżam do Poznania na „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza, Tadeusza Nyczka i Mikołaja Grabowskiego. Siedzę na balkonie, tam ulokował mnie Teatr Nowy (występuję jako juror). Sporo

młodzieży, ludzie ubrani trochę bardziej odświętnie niż bywalcy teatrów warszawskich. Obok mnie siadają matka i córka, ta ostatnia w wieku szkolnym. Matka dopytuje przed przedstawieniem, czy przerabiali „Pana Tadeusza”. Pada niewyraźna odpowiedź.

Dobijamy do końca aktu pierwszego. Po przerwie matka i córka już się nie pojawiają. Wyszły z teatru. Czy zmęczone Mickiewiczem? Czy przeciwnie, zniesmaczone cokolwiek nieortodoksyjnym podejściem do jego twórczości? Czy miały jakieś zdanie na ten temat? Czy teatr wydał im się zbyt tradycyjny, czy przeciwnie za nowoczesny?

Nie wiem. Skądinąd to przedstawienie jest jednym z moich najciekawszych teatralnych doświadczeń roku. Jechałem do Poznania trochę jak na ścięcie. Całkiem niedawno przecież krytykowałem „Miny Polskie” tego samego tandemu Nyczek-Grabowski, w warszawskim Teatrze Polskim.

> *Mikołaj Grabowski robi wciąż to samo przedstawienie, tyle że coraz mocniej obciąża swój powtarzający się refren współczesnymi ideologicznymi fobiami*

Doznałem wtedy wrażenia, że Mikołaj Grabowski, artysta skądinąd z mocnym dorobkiem, robi wciąż to samo przedstawienie, tyle że coraz mocniej obciąża swój powtarzający się refren współczesnymi ideologicznymi fobiami. Traktat o polskich wadach opowiedział nam już wiele razy. Kiedy na dokładkę tym razem pomieszał atak na sarmatyzm z wojną przeciw romantycznemu mesjanizmowi, wyganianemu słowami Gombrowicza, doznałem nie oburzenia, a zażenowania. Mam pisać, że wujek obudził się przy stole żeby urągać dawnym Polakom? Nawet nie wie, jak jest do nich podobny w swoim zacietrzewieniu, które przedstawia jako modną ironię.

I tak się to zresztą zaczęło w Poznaniu. Gromada „dawnych Polaków” we współczesnych strojach, od garniturów po dresy, zażywa rozrywek Soplicowego dworu, a tak naprawdę próbuje przedstawiać nas

współczesnych. Podobieństwa czasem są faktyczne, czasem wydumane, sporo humoru sytuacyjnego opartego na przerysowaniu – choćby scen erotycznych granych ze współczesną dosadnością, jeśli nie wulgarnością. Chwilami reżyser koncertowo ułatwia sobie sprawę. Tadeusz musi być śmieszny zachwalając polski krajobraz, skoro śmiesznie wymachuje ramionami, a właściwie nie ramionami, a drzewkiem. Jest tu oczywiście dawna pobożność, polowanie i nieustanne picie alkoholu, co daje jakieś skojarzenia ze współczesnością.

**Coraz bardziej serio**

Czym jednak dalej, tym wszystko zaczęło się komplikować. Scena zatargu na zamku, z Gerwazym nakręcającym stary zegar, przypomniała nam, jaki potencjał realnej groteski kryje się w tekście Mickiewicza. I jak on naprawdę mówił o nas, także tych dzisiejszych, chociaż wszystko działo się na Litwie, nie w Koronie. Akt drugi był już grany raczej serio, z porywającymi bez mała scenami narady Dobrzyńskich w zaścianku (skądinąd przypominał się nieśmiertelny film Wajdy) czy z markowaną, a jednak bardzo sugestywną bitwą.

*Pokusa publicystycznej dydaktyki prowadzi też do nieoczekiwanych wykwitów obciachu, jak wtedy kiedy Jankiel machał unijną flagą, podczas gdy reszta zajazdowej kompanii flagami polskimi*

Owszem pokusa publicystycznej dydaktyki prowadziła też do nieoczekiwanych wykwitów obciachu, jak wtedy kiedy Jankiel machał unijną flagą, podczas gdy reszta zajazdowej kompanii flagami polskimi. Ale czy nie wzruszaliśmy się sceną śmierci księdza Robaka, czyli Jacka Soplicy? Tę przemianę symbolizowały nawet stroje, większość aktorów przebrała się już do tego czasu w staropolszczyznę. Fakt, że Gerwazy wędrował po scenie do samego końca w garniturze można oczywiście kwestionować, tylko że… Tylko że ta spora porcja teatralnej umowności w skakaniu po epokach prowadziła nas per saldo do jakiegoś poczucia ciągłości. Kiedy pod koniec Zbigniew Grochal grający zarówno Podkomorzego jak i Maćka

Dobrzyńskiego mówił samotnie mickiewiczowski wiersz, czuliśmy, no dobrze, ja czułem, bo za resztę widowni nie odpowiadam, że jesteśmy w domu.

Można oczywiście kontentować się uwagami stricte warsztatowymi. To prawda, że wyrównany zespół wykonuje skomplikowane nieraz zadania aktorskie i nieźle mówi mickiewiczowskim wierszem. Muzyka Zygmunta Koniecznego, zrazu nieco manierycznie nakłada się na kpiny Grabowskiego i Nyczka, potem jednak coraz lepiej organizuje akcję i nastrój. Scenografia Jacka Uklei dobrze komponuje się z rozlicznymi przesłaniami utworu. Ale moja refleksja wychodzi poza czysto teatralne zalety tego widowiska.

Publiczność na koniec wstaje, porwana całością. Może czasem opłaca się jednak postawić na coś więcej niż jeden ton. I nawet nie dlatego, że ludzie są wzruszeni, i to zimnokrwiści Poznaniacy. Przede wszystkim dlatego, że dopiero ta wielobarwność jest jakąś prawdą o nas.

Ona jest i tak inna niż też mieniąca się wieloma barwami logika Mickiewicza. Możliwe, że Grabowskiemu dzieło wymknęło się nawet trochę spod kontroli, że miał inne intencje, że chciał jeszcze bardziej przyłożyć. Ale o to, że próbuje spojrzeć na polską historię i na naszego wieszcza z lotu ptaka, pretensji nie mam. Chciałbym tylko odrobiny sprawiedliwości w osądach. I w sumie ją dostaję.

**Fredro czyli feminizm**

Tak to nagle traktowany przeze mnie nieufnie Grabowski stał się kwiatem wystającym ze śniegu (wobec zmian w klimacie metafora dziś cokolwiek niezrozumiała). Bo generalnie z owym poczuciem ciągłości, o które się upominam, jest nie najlepiej. Przekonała mnie o tym choćby wyprawa do Gdańska na „Damy i huzary” Aleksandra Fredry w Teatrze Wybrzeże.

> *Z poczuciem ciągłości, o które się upominam, jest nie najlepiej. Przekonała mnie o tym choćby wyprawa do Gdańska na „Damy i huzary” w Teatrze Wybrzeże*

Ta inscenizacja dyrektora Adama Orzechowskiego to typowy „teatr dramaturga”, w którym sztuka, jej tekst, postaci i fabuła, to ledwie punkt wyjścia do częściowo nowej, podopisywanej opowieści. „Czy jesteśmy u kresu historii pisanej głównie przez mężczyzn?” – pada pytanie w programie teatralnym. Zadaje je Michał Kurkowski, właśnie dramaturg, autor adaptacji. Spodziewamy się od razu nowej wymowy, w duchu obrony kobiet, co próbował kiedyś zrobić Krzysztof Warlikowski zmieniając wydźwięk finału szekspirowskiego „Poskromienia złośnicy”. Tu nawet to jednak nie całkiem się udaje. Co w takim razie wynika z tego przedstawienia?

Sztuka została inkrustowana nie tylko kawałkami innych dramatów Fredry i jego sprośnymi wierszykami, co ma służyć „ożywieniu” i „uwspółcześnieniu” akcji, ale także, istotnie, chwytami inscenizacyjnymi eksponującymi konflikt kobiet i mężczyzn w duchu współczesnego feminizmu. Właściwie kontra wymowie oryginału, który jest co prawda łagodną, ale jednak satyrą na kobiety, ich skłonność do rządzenia się i manipulowania mężczyznami. Z faktu jednak, że w Gdańsku panie wygrażają panom szpicrutami, a służąca staje się eksponentką kobiecej rewolucji, nie wynika, że dostajemy spójną, klarowną polemikę z dawną wersją. Dostajemy raczej mało zborny zbiór skeczy i skojarzeń.

Niby próbuje się ośmieszyć męską solidarność i wojskowe obyczaje (skądinąd tak prymitywnymi chwytami jak sugestie homoseksualnej fascynacji Majora ciałem młodego Porucznika – widać tu bezradność progresistów wobec zjawisk, których nie rozumieją). Ale nie prowadzi nas to do żadnego określonego punktu. Na koniec logika pierwotnego tekstu w rozwiązaniu fabularnych zapętleń właściwie zwycięża.

Porucznik dostanie Zosię, intrygi zostają pokonane. A raczej ta logika zwyciężyłaby, gdyby nie druga, dalej jeszcze idąca ambicja autorów inscenizacji.

**W poszukiwaniu antydramatu**

Bo niespójność powiązana z efekciarstwem, manią czysto formalnego „uwspółcześniania" nie jest największą słabością tej wersji. Zapragnęli równocześnie dramaturg Kurkowski i reżyser Orzechowski być kolejnymi uczestnikami debaty o polskości. Powplatali więc, całkiem już poza główną opowieścią, akcenty dotyczące polskiej flagi, patriotyzmu, religijności itd. Jest to banalnie przewidywalne, mętne, odwołujące się do współczesnych skojarzeń publicystycznych. Zrobili to używając innych tekstów Fredry, czasem sięgając poza niego (wiersz Tetmajera „Patriota"), no i posługując się nieraz dość prymitywnymi wtrętami typu śpiewanie „Boże coś Polskę" w całkiem do tego nie pasującym momencie.

*Niespójność powiązana z efekciarstwem, manią czysto formalnego „uwspółcześniania" nie jest największą słabością tej wersji*

Ale to wszystko ma zmienić komedię w dramat, lub może raczej antydramat – ujawniają się tym samym nowi kandydaci na antywieszczów, wierzący zapewne że podążają śladami Mrożka czy Gombrowicza. Po co jednak przy okazji „Dam i Huzarów"? Czy nie lepiej byłoby napisać własny dramat, choćby odwołujący się do pastiszu? Nie ma tu jednak kogoś na miarę dawnego Jarosława Marka Rymkiewicza z jego odgrzanymi ostatnio w Teatrze Narodowym „Ułanami". Łatwiej wystawiać język za plecami zmumifikowanego Fredry.

Majora trzeba pokazać jako postać odtwarzającą zdarzenia z perspektywy izolacji w szpitalu psychiatrycznym. Bo przecież nie wystarczy się bawić. Trzeba odwracać, nicować i dekonstruować

narodowy dramat, przedrzeźniać romantyzm itd. Wychodzi z tego kompletny już chaos. Dziwna pointa jawi się jako kiczowata i wymuszona.

Chwilami, tam gdzie przebija się tekst oryginału, albo groteskowa logika poszczególnych epizodów, jest to nawet żwawo inscenizowane i nieźle grane. Ale prowadzi widza donikąd. Jest za to ilustracją plag dotykających współczesnego podejścia do polskiej klasyki. A może nawet szerzej. Pisałem całkiem niedawno, że w zetknięciu z tematyką polskości większość twórców teatralnych dostaje małpiego rozumu.

Ogarnia mnie smutek, gdy o tym myślę. Choć jedna niewątpliwa korzyść z tych moich eskapad po Polsce śladami klasyki jest taka, że pogodziłem się z Mikołajem Grabowskim….